



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

Ekspedycya główna w księgarni wydawcy
Krakowskie-Przedm. № 111 (nowy 7).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartal flor. 3, na prowiny z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.

W Krakowie: u D.E. Friedleina, kwartal flor. 2 cent. 75, na prowiny z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.

W W. Rs. Poznańskim: u Leitgebiera i Społ., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

IRONIA.

Ironia dziwnym jest kwiatem, co żyje
Łzami i bólem a śmiechem zakwita,
Na gruzach szczęścia jako bluszcz się wije,
A w jego wieńcach ruina spowita,
Choć krwawe ślady w łonie swoim kryje,
Zawsze uśmiechem przechodzących wita,
I własną pustkę i smutek wyszydza—
Przed okiem widza.

El-y.

POGAWĘDKA.

Mieliśmy już jedną zimę w listopadzie. Z trzech prorokowanych przez obserwatorium paryzkie atrybutów zimy, dotychczas pierwszy się dopiero sprawdził: jej wczesność. Co do śnieżności — to rzecz jeszcze wątpliwa, dla nas szczególnie mieszkańców Warszawy. Naużyliśmy się, biedne mieszczuchy warszawskie, sanny po kamieniach i wybojach. Przyszło słońce i splukało sanne — a sanki do wozów pozapędzało — i czekamy znowu co będzie, patrząc w zielono-popielato-szare niebo, w którym coś ciągle wre i kipi od chmur.

Deszcz mrzy chwilami, to znowu popaduje śnieg... Człowiek patrząc na niebo, na ziemię, utyskuje, jak gdyby pierwszą dopiero zimę, pierwszy dzień miał w swem życiu z deszczem i śniegiem, co się na przemiany przed nim popisują. Lecz nie przy-

zwyczajnie umysłu swego do niczego i narzekać na wszystko — to odwieczna właściwość człowieka odkąd świat światem. Łatwiej się jeszcze ciała nasze do chłodu i głodu, niż dusze do wrażeń przykrych przyzwyczajają. A że przykrą jest późna jesień, więc co rok na nią narzekamy, a ona mimo to co rok przychodzi.

Narzekamy jeszcze tak samo jak czynili przed wiekami poprzednicy nasi na długie wieczory a dni krótkie. Ta skarga służy szczególnie gospodyniom domu — tak wstecznym, że się jeszcze zajmują gospodarstwem — do usprawiedliwiania się z pracy nie-sporej, powolnej rzeczywiście idącej niż na dniu wielkim. Jaki jest związek słońca z pracą, związek nie dający się rozzerwać przez lampy i świece, że już pominię latarnie gazowe warszawskie — nie wiem i wiedzieć nie chcę. Dość, że dla uzupełnienia skarg na niebo, utyskiwać musimy i na słońce.

Rzeczywiste prawo do skargi na niebo i na ziemię, mieliby ci tylko, których wiatr przyodziewa i grzeje — słońca na głowę nakrywa — błoto w obuwie stroi. Skarg takich mało słyszemy, chyba gdzie wieczorem z zakątku muru wyciągnie się jaka ręka z prośbą... Skargi takie matka gorzałka na łono swoje przyjmuje, i matka rodu ludzkiego — gorzałka koi... Żebracy z rzemiosła, których widzimy chodzących po proźbie, są zwykle dobrze obwarowani na zimno i niepogodę. Rzeczywista nędza nie mieszka w tem żebractwie — ani w nędzy wyjątkowej, obwieszczanej przez Biuro Informacyjne, ani we wstydzających się żebractwie, w których nie zawsze przenikliwość nasza właściwy stan psychiczny pochwycić umie — rzeczywistą nędzą jest ta, co nie żebrze, nie nazywa się sama i nie bywa przez nikogo nazywana; ta nędza, która gdy się do duszy wedrze, rodzi w niej żądzę występłą — nędza, przy której nie potrzeba leżeć na ementarzu, aby być umarłym.

O nędzy i biedzie myśli Warszawa tak, jak się myśli dzisiaj na całym świecie w XIX wieku. Organizuje się pomoc, nie daje się jej indywidualnie. Biedny dostaje pieniądź, nie dostaje miłosierdzia.

Aby on się mógł najęść, inni muszą się wpród nacieszyć z jego głodu i podziękować Bogu, że nie jest ich własnym głodem, ich własną potrzebą. Aktowi spożycia kawałka chleba przez biedaka towarzyszą trąby i kotły na koncertach z orkiestrą, na skromniejszych fortepian lub skrzypce. Niekiedy akt taki obchodzony bywa bałem tańczącym — ludzie się wytańca, zapłacą za to — biedny pieniądź zgaranie. Następuje wymiana usług: biedny daje swą biedę, bogaty pieniądze.

Gdzie miłosierdzie?

Nie potrzeba miłosierdzia — tylko pieniądze, pieniądze, jeszcze raz pieniądze! wołają i biedni i bogaci.

Bardzo zacną myślą przyjęte jest zawsze grono tutejszych artystów na około opery ześrodkowanych — aby z nastaniem jesieni dawać koncert dla studentów uniwersytetu. Publiczność zwykle na koncerta te tłumnie uczęszcza. W roku bieżącym mimo dnia niepogodnego zabawa powiodła się jak najlepiej. Młodzież niezamożna zyskała pieniądze na wpisy. Najwyższy zakład naukowy w kraju liczy tysiąc uczniów. Procent niezamożnych wyniesie znaczną liczbę, choćbyśmy go według stopy najumiarkowańszej obliczali.

Urządzono także koncert na uczniów gimnazjalnych. Cel również szlachetny, bo młodzież garnie się do szkół — tak, że nawet pomieścić się w nich nie może. Materyalna pomoc dla potrzebujących jest obowiązkiem ze strony społeczeństwa, obowiązkiem nie zawsze należycie spełnianym. Robilibyśmy więcej dla biedy, gdyby nie nieszczęsny systemat miłosierdzia, do którego się umysły nasze od dzieciństwa wkładają. Serca nasze indywidualnie ustępują miejsca machinie, która śmiechem jednych ociera łzy drugim — wszystko dzieje się mechanicznie. Nikt o biednych nie myśli, nie zna ich, rzadko kto widział biedę w jej własnym gnieździe, chyba że należy do jakiej instytucji miłosiernej lub jest właścicielem domu a chodzi osobiście odbierać komorne co tydzień lub dwa — od tej rzęsy ciemnej, bru-

dnej—a najwyższe stosunkowo komorne płacące— dla której Warszawa od lat dziesięciu już buduje tanie domy w imaginacji swojej — skąd jakoś dotychczas wyciągnąć ich nie może.

Pokładano jeszcze nadzieję na Towarzystwie budowlanem, którego ustawę wszystkie pisma w przeszłym roku jeszcze były ogłosiły. Ale Towarzystwo nie przyszło do skutku — dla braku współudziału: nie przedstawiało dobrego interesu. Kapitały jedne powycyfywały się, inne pochowały przed nową myślą nie dość zyskowną, podobno nawet przy drogości materiału, na oczywistą stratę narażającą. A strat kapitał się boi—strat nieprodukcyjnych; są bowiem straty produkcyjne—naprzykład straty poniesione na historycznych zapisach na kolej nadwiślańskiej. Ludzie bardzo kompetentni mówią, że w toczącym się czy też przetoczonym już sporze, nie chodziło nigdy o pokrycie strat tylko o podział zysków.

Wróćmy do biednych. Przed samem Bożem Narodzeniem—wcześniej niż lat poprzednich—Towarzystwo Dobroczynności w Warszawie urządza Bazar w salach reutowych. Damy sprzedają trudnić się mają. Mężczyźni będą spacerować, patrzeć się na damy sprzedają zatrudnione i kupować. Dla zwabienia większych tłumów, odbywać się będzie tambola. Procent pewien ze sprzedaży pójdzie na cel dobroczynny. Nie jeden kupiec za pośrednictwem szanownej protektorki biednych sprzeda to w bazarze, czego może nie sprzedał w sklepie. Każda ze stron wpływających do interesu, będzie zadawolona—a celem dziś głównym wszystkiego—czy i tego felietonu?—zadowolenie powszechne.

Koncerta nie miłosierne, piszemy wyraźnie nie miłosierne, jeśli w nich pierwszorzędną sławę europejską nie występuje, nie mają powodzenia w Warszawie. Odkąd towarzystwo muzyczne działalność swą uregulowało — muzykalność naszego miasta zwróciła się ku niemu, jak woda znajdująca nagle wyrobione dla siebie łożysko. Mając możliwość słyszenia muzyki co tydzień bez kosztu i wielkiego zachodu publiczność nie kwapi się na uroczystości muzykalne niepewne, a jak doświadczenie przekonują, nieraz niewarte nawet słyszenia.

* * *

Warszawa żyje w projektach. P. Daniszewski, obywatel ziemski, doświadczywszy we własnym majątku skuteczności tam budowanych z koszy, które wypełnia piasek, pragnąłby dla wynalazku zapewniającego taniść i pośpiech w budowie—pozyskać prawo obywatelstwa od groda Syreny. Przez tydzień blisko sam kierował ułożeniem tamy według swego systemu, przy brzegu Wisły od strony Pragi. Tama ta ma 30 łokci długości. Warszawiaci, ciekawy naród, odbywają do niej pielgrzymki — niewiele z niej rozumiejąc. Tama zbudowana jest w kierunku wprost przeciwnym, względnie do biegu wody, niż się to działo dotychczas; kąt ostry jej przecięcia się z ładem posiada ramiona otwarte na przyjęcie prądu wody. Skutki tego mają być znakomite: jedno z pism codziennych donosi, że niedokończona jeszcze tama zdołała już zwrócić prąd z pod Pragi na pierwszy filar mostu stałego przy Warszawie. — Cudowny prawie skutek! Tama kosztuje tylko rs. 350, wtedy kiedy jej koleżanka kamienna kosztowała przed niedawnym czasem rs. 12,000, a podobno niema wyświadczać tak wielkiej jak wytwór p. Daniszewskiego przysługi. Przy tamach p. Daniszewskiego najważniejszym jest wzgląd trwałości piasku zamkniętego w rzadki kosz i wrzuconego w wodę. Na przypadek, gdyby się wynalazek praktycznym okazał, p. Daniszewski zastrzeżę sobie podobno rs. 120,000 za prawo własności.

* * *

Nie patrzy już na szare niebo, nie narzeka, wiosny nie wygląda, od wichru się nie osłania, przed zimnem nie otula — leży cicho w swojej mogile kobieta, którą znaleźliśmy wszyscy, dalecy i blizy, której imię w najodleglejszy zakątek kraju, byle tylko dostępny dla cywilizacji przenikało, którą ceniliśmy wszyscy wysoko dla jej niepospolitych zdolności. Wiktoryna Bakałowiczowa — artystka sceny warszawskiej zmarła dnia 30 października r. b. Zmarła

nagle — śmierć ją zgarnęła, nim się obejrzyć zdołano. W niedzielę jeszcze s. p. Wiktoryna miała grać w Teatrze Rozmaitości — we wtorek była już chorą bez nadziei, w piątek nie żyła. Czwarta część Warszawy wyległa pożegnać ją ostatniem spojrzeniem na trumnę.

S. p. Bakałowiczowa należała do tego rodzaju artystów dramatycznych, o których mimowoli nasuwa się na usta słowo, że ich Bóg sam uczynić chciał artystami — tak w nich sztuki nie znać, tak wszystko swobodnie się rozwija w ich produkcji, tak im nigdy sił nie braknie, a życia zawsze taka jest obfitość, że ich aż przez brzegi wylewał — Odtwarzane przez takich artystów postacie są zawsze rzeczywistymi ludźmi, czujemy bijącą w żyłach ich krew, dygocące w piersiach serce, oddech ich i westchnienie gorące: — zapominając o uludzie teatralnej, przenosimy się sami w ten świat martwych postaci, jaki stworzył autor i zdaje nam się, że one z nami, a my z nimi żyjemy. Takie wrażenie sprawiała sztuka Bakałowiczowej — podobne wynosimy z gry Żółkowskiego, który w wyższym może jeszcze stopniu posiada ów dar nadawania doskonałej syntezy, siły i życia podejmowanym przez siebie kreacyom dramatycznym. Ostatnią nową rolę Bakałowiczowej na scenie warszawskiej — była Doryna w „Świętoszku“ Moliere. Ile tam wdzięku, ile prawdy, jaką chciał mieć autor, i życia, jakiego wymaga widz, objawiła artystka w tej roli! Lecz na co słów wiele? Scena warszawska utraciła wielki talent idługie lata czekać będzie potrzebowała na podobną mu potęgę.

* * *

„Opiekun Domowy“ wchodzi na drogę humorystyki. Przekonywają o tem *Ślady Życia* w numerze z d. 4 listopada. Znajduje się tam wyszczególnienie tego co w *Bluszcze* napotkać można, dokonane z *prawdziwo* ym humorem.

Jeżeli redakcyja „Opiekuna Domowego“ czytała artykuł swego felietonisty, to dziwić się potrzeba: jakim sposobem artykułu tego z kolumn swoich nie cofnęła.... Czyby w ten sposób zaznaczyć chciała swoje *ślady życia*.

„Bluszc“ uważał zawsze, uważa i uważać będzie wewnętrzne walki literackie za niegodne piśmiennictwa. Czytającemu ogółowi — idei potrzeba i prawdy, a nie *osobistości* — ma ich każdy aż nadto w życiu, poza literaturą.

RODZINA

jako stowarzyszenie się do szczęścia.

(Dalszy ciąg.)

Co w istocie ludzkiej do szczęścia wychowującej rozwijać potrzeba? W jakim kierunku duszę jej kształcić, w jakie przymioty, a właściwie siły życia zapatrywać, aby jej zapewnić przedostanie się do tej najwyższej w ludzkości arystokracji, którą stanowią ludzie szczęśliwi bez grzechu? Mamy ciągle przed sobą założenie etyczne wykształcenia prawych charakterów, nie zaś umysłów; działalność umysłowa jest tylko charakterowi pomocną, ale go nie obejmuje i nie wy daje z siebie. Sprawy zatem intelektualne odsuwamy na bok — wolę i uczucie stawiamy na pierwszym miejscu i zapytujemy: według jakich zasad tę wolę i uczucie urabiać należy do szczęścia?

Człowiek, jeżeli ma iść przez życie drogą pewną i dobrą, przedewszystkiem musi mieć zasadę postępowania w samym sobie. Musi wiedzieć, że idzie, dokąd i dla czego idzie. Musi być sobą, pewną stale oznaczoną wielkością, tą a nie inną, rozgraniczoną od innych wielkości ludzkich tą samą drogą idących. Musi mieć swoją odrębność od innych i niepodzielność wewnętrzną, musi się odczuwać w indywidualności swojej. Jeżeli ma być dobrym, powinien chcieć tego, cnotę i całe anielstwo, do ja-

kiego człowiek w odpowiednich chwilach życia wzbicić się może, mieć utajone w samym sobie *in potentia*, powinien rozumieć dobro własnym rozumem i kochać je własnym sercem — niczego na późniejszej okoliczności z zewnątrz kształcać nie zdając, choćby okoliczności te ukrywały w sobie istotnie najszaconiejsze dla niego nauki, choćby mu los miał być mistrzem, a niedola przyjaciółką. Znajdować szczęście w miłowaniu dobra i dążeniu do niego, miłować i dążyć i być przygotowanym do odpierania wpływów przeciwnych — tego się ma człowiek nauczyć już w wiosnie swego życia i nie nauczony wtedy nigdy już później na tor prawdziwej szczęśliwości nie trafi. I dla tego właśnie, że rodzina ma sobie oddane dusze młode, obowiązkiem jej jest wychowywanie ich do szczęścia, póki czas na to pozwala.

Siła wyżej określona jest samodzielnością moralną człowieka, jest jego udzielnnością w obec innych potęg świata — na niej dopiero szczępią się i rozwijają wszystkie inne przymioty. Człowiek, który nie jest sobą, wtedy gdy dobro spełnia, który nie czuje że dobry uczynek stanowi jego własność najświętszą, której mu nikt nie wydrze — nie może też być szczęśliwym: temu snadź wrodzone, panujące w życiu dążenie do szczęścia wykoleiło się z idei dobra i pójsć może na owe błotne niziny, w których zadowolenie i spokój — człowieczeństwa godnymi nie będą. Nie dość jest mieć ideał przed sobą, trzeba go mieć w sobie, zamienić go w prawo, w potrzebę, w zwyczaj szlachetny. Tylko człowiek moralnie samodzielny może być człowiekiem dobrym. Tak zwane dobre i złote serca, na które jednak najbliżsi płaczą, za które się rumienią i które nieraz wyklinać muszą — są tylko grymasami natury, nieujętemi dla etyki, niepożytecznymi dla bliźnich, nieznośnymi dla samych siebie. Trzeba wyrabiać charakter, t. j. pewien stan niewzruszoności duszy, który bez owej samodzielności w dobrem będzie tylko samowolą skondensowaną, że tak powiem, ale charakterem w znaczeniu etycznym nie będzie. Konwencyonalne używanie jednego i tego samego wyrazu na oznaczenie dwóch rzeczy odmiennych, niczego nie stanowi. To, co zwykle w życiu potocznym, a nawet w książkach, charakterem nazywamy, jest właściwie tylko silną wolą przebijania się przez życie do pewnych celów zewnętrznych. Taki charakter jest właściwie energią, a ta energia może być albo cnotą śmiałości społecznej, albo też siłą czynnego egoizmu, którą człowiek ze zwierzętami podziela. Charakter w znaczeniu tu przyjętem będzie siłą nie przyrodzoną lecz nabytą, będzie siłą, egoizmem, śmiałością, energią, wolą szczęścia wewnętrznego przez dobro. Taki charakter, ojcowie i matki w dzieciach swoich wyrabiać mają obowiązek.

Pomiędzy udzielnnością, jaką zapewnia człowiekowi dla bytu duchowego charakter, a samowolą — zachodzi ta różnica, że pierwsza jest mocą człowieczeństwa świadomego siebie, druga siłą ślepią natury bezwiednej. Pierwszą utrzymuje miłość, drugą egoizm. Na pierwszej tylko przyjmie się ziarno szczęśliwości wewnętrznej, na drugiej nigdy. W samowoli człowiek uważa się za środkowy punkt świata; przy udzielnności jest tylko planetą na około słońca Przedwiecznej Prawdy i dobra krążącą. Udzielnność moralna przypuszcza samoistne, własnowolne poddanie się człowieka pod pewne prawo; w samowoli prawem dla siebie jest sam człowiek, są jego ciemne potęgi namiętności nieopanowanych. Auerolą, tarczą świętą otaczającą udzielnność jest spokój, aureolą samowoli — wiekuiste szamotanie się z sobą i ze światem. Tak wielka odległość przedziela jedno pojęcie od drugiego, że trudno wyrozumieć jakim sposobem w umysłach naszych klócić się one mogą, a jednak nie powszechniejszego w wychowaniu nad podawanie dzieciom samowoli za samodzielność. Rodzice tak sobie często sprawy z celów i środków wychowawczych nie zdają, że pod pozorem wyrabiania charakteru (w znaczeniu konwencyjonalnem) utrwalają właśnie w dzieciach siłę wyrobieniu się charakteru istotnego najnieprzyjaźniejszą.

Nie z popędów i żądź luźnych, choćby nawet do dobra skierowanych, ale z przeświadczeń, przekonani i postanowień założyć trzeba fundament dla duszy ludzkiej, aby ją umoralnić. Lecz jeśli nieusprawiedliwionem jest stawianie samowoli w miejsce samodzielności, daje się przynajmniej wytłómaczyć tem, że obie sprowadzają się do pojęcia pewnej czysto-

formalnej udzielności człowieka w obec świata zewnętrznego. Można rozwijając samowolę w miejsce samodzielności mieć jednak tę ostatnią na celu — a błędzić tylko w skutek niedoświadczenia wytrawnego sądu, niedoświadczenia jasnego pojmowania i słabej woli. Działanie niewłaściwe, złe może być jeszcze przedsięwzięte w celu dobrym. Gorszem jest działanie wręcz przeciwnie celowi, pracowanie nad tem, aby dusza nigdy samodzielnie się nie rozwinęła, aby nie była sobą, nie miała w samej sobie racji bytu, nie wiedziała co robi i dla czego, kierowała się nie własnym dyktowaniem sobie prawem, ale względami ubocznymi, zewnątrz człowieczeństwa leżącymi. W wychowaniu takim dziecku nakazuje się stosować nie do praw żadnych, zasad i uczuć, ale do tak zwanego *świata*, pod czem rozumie się wszystko to, co jest najbardziej zewnętrznego powierzchownego, wąskiego w stosunkach ludzkich. Wychowanie takie nauczy dziecko jakim *wydawać się powinno*, a nie jakim *być* ma w istocie, rozburzy indywidualność, najsilniejszy grunt moralny rozorze i moralność samą niemożliwą uczyni. Takie wychowanie konwencyonalne obliczone na efekt towarzyski, wszczepiające układność, grzeczność, uprzejmość, a zaniebującą moralność od towarzyskości niepodległą, jest wraz z samym konwencyonalizmem straszną chorobą wieku. W życiu rodzinnym rozwija się ta choroba równoległe z samowolą, a odzierając dusze ludzkie z miłości wszelkiej, zaprawiając je do obłudy, czyni z ludzi maryonетки poruszane siłą mody, przyzwyczajenia i zwyczaju. Dziecko wychowane konwencyonalnie może być odważnym społecznikiem, będzie miało odwagę rzucania się w życie i ścierania z ludźmi, ale nie zdobędzie się nigdy na odwagę moralną: dla konwensansu poświęci przekonanie, jakiegoby przypadkiem w rodzinie, a daleko pewniej po wyjściu z niej samoistnie nabrać mogło. Jak samowola okaże się nie siłą ale niemocą człowieka, gdy ją z samodzielnością zestawimy, tak konwencyonalizm raz nabyty będzie wprost tchórzostwem moralnym. Przy konwencyonalizmie niema miejsca dla charakteru, dla moralności, dla szczęścia; w nim tkwi źródło bezładu i indyferentyzmu na złe i dobre, w nim egoizm prowadzący walkę o byt i samowola nieogładająca się na prawa bliźnich — najsilniejszego znajdują sprzymierzeńca.

Potrzebaż mówić, że złe powyższe jest najgroźniejszym, najpowszechniejszym w wychowaniu kobiety? że konwencyonalizm, gotowy już w życiu, przez kobiety głównie podsyćcanym bywa, przez kobiety istnieje, utrwała się i szerzy? Nie myślę bynajmniej rzucać cienia na lepszą a przynajmniej równie dobrą jak i męska, połowę rodzaju ludzkiego. Stwierdzam tylko fakt; nie czynię zań odpowiedzialną „naturę“ kobiecej, winę nie na naturę zwalam, ale na wychowanie. Minęły już czasy, kiedy stawiano sobie poważnie kwestję: czy kobieta ma duszę? Dziś waryat tylko lub humorysta niesmaczny mógłby z podobnym zagadnieniem wystąpić. Kobiętu uważamy za równą duchowo, równomierną istotę z mężczyzną. W dążeniu do równouprawnienia, pojmując je zewnętrznie, zachodzimy nieraz za daleko, a nie chcemy równouprawnienia najpierwszego, najprostszego, najbliższego, jakie się na umysł nasuwa — równouprawnienia w samodzielności, w charakterze. Nie obudzamy w kobiecie indywidualności rzetelnej; nie pozwalamy jej mieć własnych przeświadczeń, własnych dążeń i uczuć; nie stawiamy przed nią celu dobra dla dobra; nie kierujemy nigdy myśli jej na wewnątrz ducha; nie staramy się wdrażać jej w tory samodzielności moralnej — lękamy się formalnie rzeczywistości jej rozumu, uczucia i woli i pragnęlibyśmy tylko złudzenia, nie czynimy jej istotą, lecz jakimś kłębkim nici przeróżnej barwy i gatunku nawiniętych ze świata — z tego bezmyślnego kompleksu, jaki w życiu potocznym stawiamy w miejsce społeczeństwa i ludzkości — i przytem wszystkim chcemy mieć jeszcze kobietę szczęśliwą! Zaprawdę, trudno o zjadliwszą ironię. Kobieta wychowywana z ciągłą myślą, z nieodstępny w ręku matki lub nauczycielki strychnicem konwensansu światowego musi żyć dla tego konwensansu, dla „świata“, kochać dobro tylko dla pewnej korzyści i pewnego względu. Taka kobieta wychodzi za mąż najczęściej bez miłości — i bez miłości też w rodzinie żyje. Wszystko to, co nie będzie w niej obojętnością, zniechęceniem, nudą — będzie nieopatrzoną samowolą, lub zgubnym lekceważeniem prawa moralnego. Dążenie do szczęścia

nie skierowane na samą duszę i świat duchowy musi się ponurem światłem wypromieniać w świat zewnętrzny, w krainę salonów, strojów, zabaw przemijających, upojęń bezwiednych, próżności, obłudy i całego tego bytu powierzchownego, któryby pianą na powierzchni istnienia człowieka na ziemi nazwać można. Tą pianą rozkoszować się będzie kobieta, bo ją tą pianą wykarmiono, bo nie obudzono w niej własnego *ja*, nie wytworzono jej udzielności moralnej w obec świata, nie uczyniono jej rzeczywistością wewnętrzną duchową w obec rzeczywistości zewnętrznej, o której pierś żelazną zarówno kobieta jak i mężczyzna ocierać się musi w życiu.

Liczba wstępujących w życie mężczyzn bez żadnego wyrobienia duchowego, pustych, bezmyślnych, a zepsutych jest tak wielką, że i wychowanie męskie w rodzinach, bezdusznem, bezmyślnem i złem być musi — jednakże stoi ono jeszcze wyżej od wychowania niewieściego. — Przesąd jakiś panuje nie pozwalający kobiety kształcić na człowieka. — Umysłowo jeszcze przynajmniej mężczyzna prowadzony jest w tym kierunku, że może znajdować w umyśle swym pomoce dla wykształcenia moralnego. Kobieta oplątana w sieć naukową przeróżnych talentów — do których się i mówienie płynne językami, bez tego, o czymby mówić, i czytanie książek, wczesną wrażliwość obudzającą, przyłącza — niema czasu na przyścislenie do samowiedzy i prawdziwie wychowywana jest na to, aby się sama światem a świat nią bawiła. Zresztą wykształcenie czysto umysłowe stanowi tylko podrzędny działacz umoralnienia. Zaczynają się dziś już uczyć młode kobiety nauk przyrodzonych, oswajają się z teoriami pozytywnymi, z pozytywizmem nawet już w świat występują; ma się w tem niby przejawiać nowy kierunek gruntowniejszy, a właściwie przejawia się tylko ów kierunek materialistyczny, scharakteryzowany poprzednio — moralność wyłączającą. Dla prawdziwego wykształcenia człowieczeństwa nie się w wielkich massach rodzin nie przedsięwzięcie i nie nie dokonywa. — A przecież byłoby to najwładźniejsze, najpodniosłejsze równouprawnienie obu płci, gdybyśmy obie wychowywali do jednego, człowieczeństwa, do jednaki samodzielności moralnej, dawali im jednaką miłość dobra, piękna i prawdy — jednako umacniali w nich charakter niezależnie od wszelkich różnic, duchowi i naturze wrodzonych. Obudzenie samodzielności, obwarowanie duszy od tego, co złe i znikome, a wprowadzenie do niej jak najwyższych, jak najtrwalszych dążeń jest równie możliwym przy wychowywaniu kobiety jak i mężczyzny — a w życiu na podwalinach takiego wychowania wzniesieniem, kobieta równie wielką, jasną, niespożytą wydać się musi jak mężczyzna. Jestto pole najbezwzględniejszej równości. Volumnia z taką samą siłą przed potomnością jaśnieje jak Regulus.

Samodzielność duchowa jest formą, którą rzeczywiste dodatnie przymioty, t. j. siły żywe, do życia potrzebne, wypełnić muszą, aby człowiek mógł żyć prawdziwie moralnie, nietylko bierną uczciwością, ale i tą zacnością czynną, która posiada wartość dla społeczeństwa. Gatunkować tych sił ściśle nie można; sądzę jednak, że dałaby się znaleźć zasada do ich rozdziału w przeciwstawieniu miłości własnej do miłości innych ludzi. Wszystko to co się przyczynia do wzmocnienia bytu indywidualnego jednostki, co ją zachowuje, osłania i wzbogaca, co ją broni od wpływów zewnętrznych, szkodliwych, a użyteczne na korzyść własnego duchowego rozwoju obraca — należeć będzie do pierwszej kategorii, sił zachowawczych. Wszystko, co człowiek z charakteru i wiedzy swojej wydobyć może na pożytek drugich, wszystko z czem występuje jako zamknięta w sobie, jednolita, bez niedostatków i walk wewnętrznych, względnie doskonała i na zewnątrz czynna indywidualność — zaliczyć wypadnie do drugiej kategorii, sił ekspansywnych. — Oszczędność, wstrzemięźliwość, pracowitość, wytrwałność, uczucie honoru i inne są siłami zachowawczymi, skierowanymi na wewnątrz, niejako dośrodkowymi. Sprawiedliwość, miłosierdzie, miłość ludzkości, żyjącej nietylko w jednostkach ale i w większych uspołecznieniach, są siłami odśrodkowymi, bo prowadzą człowieka od niego ku celom poza nim leżącym.

Ustosunkowanie miłości jednej do drugiej byłoby ciężkiem niezmiernie zadaniem — gdyby człowiek rodził się z zasobami obu tych miłości, ale ponieważ przynosi ze sobą na świat tylko jedną i to na

najniższym stopniu, jako egoizm przejawiającą się a drugą przez pracę dopiero wytwarzać w nim potrzeba, niema więc niebezpieczeństwa, aby kochał innych więcej niż siebie z ujmą dla własnego bytu. Im więcej człowiek kocha, tem jest szczęśliwszym. Ile razy widzimy fakt przeciwny, naprzykład w uczynności nadmiernej dla bliźnich, dzieje się to nie ze zbytnej miłości, ale z braku przymiotu zachowawczego, którym jest oszczędność. — Trzeba rozwijać w dziecku siły obu kierunków dośrodkowego i odśrodkowego — bo oba kierunki są w życiu potrzebne, oba nadają człowiekowi wartość nietylko w obec społeczeństwa, ale i w obec samego siebie. Miłości własnej z duszy wyrugować nie można — bo człowiek musi i powinien być przywiązany do siebie, do swojego *ja*, do swojej przeszłości, jeżeli ma czystą, do swojej przyszłości, jeśli ją własną zasługą chce zdobyć. Musi i powinien mieć człowiek miłość własną, jeśli ma w sobie tylko tresę duchową miłości godną. Wolno i potrzeba mu być dumnym, wolno i potrzeba mu być ufny w swe siły. Zarozumiałość, wyniosłość, pycha nie imają się duszy prawdziwie wyrobionej, choćby jeszcze doskonalszej się — i owa duma, którą nakazuje człowiekowi Krauski, jest dobrem, uczciwym, prawowitem uczuciem zadowolenia z tego, że duch biednym, nędznym upośledzonym się nie czuje; w tej dumie wyraża się postanowienie, nie schodzenia z raz obranego stanowiska godności moralnej. Pierwiastek miłości własnej w człowieku religia sama w Dekalogu uświęca.

Powiedziałem, że siła naczelną kierującą powinna być miłość. Ta miłość nie jest prostym abstraktem ale szeregiem objawów rzeczywistych istniejącego w sercu rodziców przywiązania do dzieci. W tej miłości dziecko znaleźć ma dla siebie szkołę serdecznych węzłów z braćmi i siostrami, z bliźni, z samem nawet społeczeństwem. Dzieci, które się chowały bez miłości czynnej, tej, która nie jest pozostałością naturalnej wspólności dziecka z matką, ale ukochaniem istot ludzkich rozwijających się na życie fizyczne i duchowe z pnia wspólnego bytu — takie dzieci zimnymi wchodzą w świat, zimno szerszą w koło siebie — i jeśli nie należą do natur wyjątkowych, szczególnie obdarowanych — mimo całego zasobu wiedzy i energii do działania, nie światu idei moralnych z siebie nie dadzą. Rodzice nie będą mieli dla dzieci miłości prawdziwej, człowieczeństwo w nich rozwijającej, jeśli jej nie będą mieli dla samych siebie; i to jest przekleństwo wszystkich małżeństw dla interesu kojarzących się, że w rodzinach przez nie zakładanych panować będzie ten sam niedostatek na jaki i one cierpią — brak miłości! Dzisiejsze gonienie za posagami, szukanie karyer, pozbywanie się córek z domu, dzisiejsze małżeństwa lekkomyślne, w których względ na osobistość jest małoznacznym, byle były prawa nabyte — dają nam pokolenia nieudolne umysłowo i moralnie i nawet pod względem fizycznym upośledzone. Tegoczesny filozof Ravaisson z miłości wszystkie dodatnie wartości uspołecznionego bytu ludzkiego wyprowadza.

Nie odsłaniaj stron jeszcze ciemniejszych, kiedy dzieci nie znajdując przykładu miłości, nie znajdują i przykładów moralnego postępowania... bo mówię o rodzicach uczciwych, mających uczucie czci dla węzłów rodzicielskich, pragnących dobra swych dzieci, chociażby bez pracy, bez żywego przykładu, bez istotnej, owoce przynoszącej, działalności.

Zaszczepienie zasad moralności rzetelnej nie opatruje jeszcze dziecka we wszystkie do życia szczęśliwego warunki. Prócz wykształcenia umysłu, które w interesie samej moralności nie może być zupełnie z pod kontroli rodzicielskiej usuniętem (czytanie książek i t. p.) do zakresu działalności rodzicielskiej należy wypielęgnowanie zdrowia fizycznego, wynalezienie zawodu dla chłopców, a zapasowego źródła utrzymania dla dziewcząt — o czem żadna najbogatsza nawet rodzina nie powinna zapominać — wreszcie wyrobienie w dziecku energii społecznej opartej na pracowitości i wiedzy.

(Dokończenie nastąpi.)

NIEWIASTA POLSKA

W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA

(1800—1830 ROKU)

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg.)

Testament Henryki. — Dzieciństwo i wychowanie hr. Adama. — Młodość jego. — Ostatnia wola ojca. — Czternastoletnie rozłączenie. — Powrót z Paryża. — Charakter, sposób życia. — Stosunki — Miłość dla Jadwigi. — Koniec opowiadania Chromińskiego. — Powrót pułkownika i narada. — Wyprawa do Jazdowa. — Głos sumienia. — Przynajęcie się do winy. — Przebaczenie. — Adoptowanie małego Stefanka. — Śmierć hr. Adama. — Skon pułkownika i Tadeusza Sędzimiry. — Smutek Klary. — Przygody z rzeczywistego życia w ramach powieści Jaraczewskiej.

— Kiedy otworzyłem oczy zobaczyłem przy łóżku mojem siedzącego ojca Prokopa, który się modlił z brewiarza. Zniosłem się od płaczu i w głos zakląłem.

— Synu mój! rzekł poważnie sędziwy kapłan, warto płakać po takiej świętej osobie, która czysta jak anioł przeszła drogę ziemskiej pielgrzymki. Spełniała jej ostatnią wolę i ten testament wręcam w twoje ręce. Przerwałem pieczętę i drżący odczytałem te tylko wyrazy, które umiem jak pacierz.

„Biedna, z ubożego domu wzięta, nie mam prawa do rozporządzania majątkiem. Opiekę nad moim synem przekazuję ci Pawle ukochany i zostawiam jako moje pamiątki, książkę od modlitwy i pierścienek mój paniński. Obrączkę ślubną moją zachowaj i oddaj synowi, równie jak resztę kosztowności, bo te kupił mi jego ojciec. Czuwaj nad moim dzieckiem, a duch mój będzie czuwać nad tobą zawsze.“

Klara nie mogła wstrzymać łez swoich dłużej, wyciągnęła obiedwie ręce do Chromińskiego, który błady, ujął je i długo całował.

W tę chwilę nadeszła pułkownikowa i stanęła zdziwiona.

— O moja droga, kochana mateczko! Pan Paweł opowiadał mi ostatnie chwile matki Adama. O mało mi serce nie pękło z boleści.

— Wiem, że to była męczennica, odrzekła. za to dziś w lepszym świecie ma wieki spoczynek. Przejdźmy się po ogrodzie, to nas wszystkich orzeźwi i odżywi.

— Wiele lat miał hrabia Adam, gdy go matka odumarała? zapytała pułkownikowa.

— Trzy lata skończył, mówił Chromiński, a było to piękne i dorodne, ale wątłe pachole. Objąłem nad nim opiekę, a ojciec jego w liście swoim godząc się na życzenie zgasłej małżonki, zarazem donosił, że dla zdrowia musi pozostać we Włoszech. Ja tymczasem przy pomocy Małgorzaty zająłem się ukochanym sierotką. Ona czuwała nad nim z macierzystą troskliwością, ja go powoli zacząłem hartować. Chłopiec podrośł znacznie, zmężniał i dzielnie na swoim kucyku wywijał. Brałem go ze sobą do Zielonej puszczy i tam razem spoczywaliśmy w szalasy strudnie całodziennym ruchem. Rumieniec zdrowia, rozkwitł mu na czerstwym licu, a siły się z dniem każdym w nim wzmagaly. Czekalem powrotu hrabiego ojca daremnie przez lat pięć; zawsze swój przyjazd odkładał do następnego roku, aż otrzymałem wiadomość, że w Nicei zakończył życie.

W testamentie zarząd całego majątku zostawił w rękach moich, z warunkiem, ażebym na wychowanie syna wypłacał rocznie po dwadzieścia tysięcy: opiekę zaś i kierunek dalszego jego kształcenia umysłowego powierzył bratu swemu stryjcznemu hrabiemu Alfredowi. To zgubiło mojego Adasia. Zabrano mi go, wywieziono do Paryża, gdzie umieszczono na pensjonacie u jezuitów.

Załamam ręce z rozpacz, popłakaliśmy się serdecznie obaj, ale musiałem chłopczykę oddać w ręce kamerdynera szwajcara, którego umyślnie jego opiekun przysłał. Odwiozłem go do granicy i tam pożegnałem.

Odąd przez lat czternaście już go nie widziałem. Wypłacałem regularnie sumę zastrzeżoną przez hrabiego Konrada, wstrzymałem niszczenie Zielonej

puszczy i innych lasów, a gdy lata były przytem urodzajne, zebrałem gotowizną przeszło milion złotych polskich, czekając chwili powrotu młodego dziedzica.

Przyjechał w pierwszych dniach stycznia, ale za ledwem go poznał — oczy tylko matczyne i jej wdzięczny uśmiech zachował. Powitał mnie grzecznie, ale chłodno, a gdy mu oświadczył, że wszystko w porządku zastaje i że chcę mu złożyć kapitały, odwrócił tę czynność do dnia drugiego, skarżąc się na utrudzenie po długiej drodze. Nazajutrz kamerdyner jego Etienne, który z nim przybył z Paryża, zaprosił mnie do pana hrabiego. Pośpieszyłem więc do niego. Był to już inny człowiek niż w obec Etienna, porwał się na mój widok, rzucił w objęcia i serdecznie ścisnął. Łzy mi radości stanęły w oczach, a kiedy chciałem mu składać rachunki, odrzekł:

— Potem o tem, kochany mój panie Pawle, dziś siadaj i pogadajmy po dawnemu. Wczoraj jeszcze cisnęła mnie atmosfera paryzka i mrozy nasze, ale przepawszy noc smacznie, obudziłem się innym. A wiesz jakie rozkoszne miałem sny dzisiaj? marzyłem wciąż o naszym dworze nad Wisłą, o moim kucyku, mojej strzelbie, naszych leśnych szafasach w Zielonej puszczy, a wszędzie przewijała się twoja poczciwa postać i ta przyjaźń, którąś mi zawsze z miłością okazywał, a którą sobie zamawiam na całą przyszłość.

Musiałem mu opowiedzieć wszystkie prawie szczegóły, które pamięć moja zachować mogła: o Kalinowym Chruscie, o Jazdowie, aż wreszcie wspomniałem śmierć jego matki i grób, gdzie zyczyla sobie spocząć. Był to komentarz przy kościele, niedaleko naszego dworu, gdzie przebywał ojciec Prokop. Na to wspomnienie osmutniał i rzekł do mnie:

— Biedna moja matka! pamiętam co mi o niej mówiła Małgosia. A gdzież się ona podziała?

— Po wyjeździe pana hrabiego — odpowiedziałem, poszła za męża i we trzy lata później umarła.

— Więc wszyscy pomarli — co drodzy pamięci mojej byli, ty tylko mój kochany panie Pawle, pozostałeś mi jeden — zawołał z boleścią, opuścił głowę i tak dumał chwilę smutno.

Odąd żyliśmy jak dawniej, bo zawsze był dla mnie z serdeczną przyjaźnią.

— Cóż go tak odmieniło? zapytała Klara.

— Złoto i przyjaciele. Nawykły do życia gwarne w Paryżu, w pustym naszym starym dworze Jazdowa, który już rozebrano, gdy zbudował sobie pałac, — nudził sobie. Kilka dni zabrało nam przeglądanie rachunków i przeliczanie gotowizny. Gdyśmy tę pracę skończyli, odłożywszy sto tysięcy, ofiarował mi je jako nagrodę zasłużoną. Nie chciałem przyjąć, ale mnie zmusił, zaklinając na pamięć swej matki. Gdy mu złożył po niej klejnoty i ślubną obrączkę, tę ucałował ze łzami i włożył na palec. Ja w cichości dziękowałem Bogu, że serce dawne mojego Adasia, odżyło w bogatym hrabi Adamie.

Wyjechał na całą zimę do Warszawy, z wiosną pokazał się na dni tylko kilka, a zostawiwszy mi zupełne pełnomocnictwo, wyjechał za granicę. Etienne na ucho mi powiedział, że jedzie za jakąś pięknością do Karlsbad, potem do Ostendy, a na zimę do Paryża. Dwa lata bawił tam bez przerwy i wrócił, niestety! bardzo zmieniony.

Kiedy mi się skarżył na nudy, radziłem mu, ażeby odetchnąwszy po burzy światowej, ożenił się i wziął do pracy.

— Jakiej pracy? przerwał mi — pracowałem dośyć w konwiktach Jezuitów. Odrzekłem, że może zając się gospodarstwem własnym i obowiązkami obywatelskimi, że jego imię i stanowisko tego wymaga. Kiwnął ręką obojętnie i rzekł niedbale...

— Cóż ja jeden pomogę? A po co mi gospodarzyć, ty za mnie sto razy lepiej gospodarzysz.

Odąd wprawdzie rzadziej wyjeżdżał za granicę, jesień i zimę w Warszawie przepędzał i tak rok za rokiem upływał. Po trzydziestym roku życia ociężał, zaczął w Jazdowie częściej i dłużej przesiadywać, hojnie podejmować gości, a grono przyjaciół z Warszawy, potrafiło mu znowu ukraść kilka lat najpiękniejszego wieku. Teraz stał się coraz więcej skrytym przedemną. Nic nie wiedziałem o jego znajomości z biedną Jadwigą, o podejściu jej ufności, o odegranej podłe komedii ślubu — wszystko to są sprawy baronowej Essenwein. Dowiedziałem się dopiero wszystkiego w rok po związku małżeńskim z panią. — O! mój Boże (mówił dalej Chromiński)

on oszukał tę, którą ukochał pierwszą, prawdziwą miłością — pozyskał wzajemność i zapłacił zdradą!..

Na te słowa Klara zwróciła się do mówiącego i rzekła drżącym od wzruszenia głosem:

— Jakto? więc jesteś pewny panie Pawle, że ja kochał szczerze?

— Jak najpewniejszy, bom się dowiedział wszystkiego, kiedyś pani była już małżonką hrabiego Adama, opuszczona sierota, a we mnie tylko miała opiekuna. Przypuszczony do tajemnicy, musiałem milczeć, ażeby drogą pani życia nie zatruwać.

— Dla czegoż kłamał miłość dla mojej Klaruni? zapytała pułkownikowa załamując ręce.

— To objaśnić może on sam i jego powiernica Baronowa. Nie świadom niczego, dowiedziałem się, że zaczął się starać o rękę pani. Dawna otwartość wróciła wtedy. Gdy zobaczył panią hrabinę, mówił mi, że jej piękność go zachwyciła. „Zwiedziłem dużo świata, — były jego słowa, które często powtarzał — a tak uroczej kobiety nie widziałem. Jestem oczarowany, o niej tylko marzę i myślę.“ — Nadzieja połączenia się z domem tak zacnym i powszechnie szanowanym wywołała w nim nieopisaną radość. Odżył i odmłodniał. Wieczorem raz mnie zawołał i wzruszony rzekł do mnie:

— Kochany panie Pawle! mam nadzieję, że się ożenie z pułkownikową.

Jam mu szczerze winowałem, niewiedząc, że w Borowie żyje nieszczęśliwa ofiara, dotknięta nieuleczoną chorobą. Bóg go też dotknął straszliwie; we dwa lata po godach weselnych zmienił się wiele, a bóle ubezwładniały mu co chwila to nogę, to rękę. Starzej wyglądał nad lata swoje, bo zaczął teraz dopiero 44 rok życia.

Gdy kończył te słowa Chromiński, trzask z bicia oznajmił powrót pułkownika, który gdy ujrzał na ganku swoją panię, ukochaną jedynaczkę i starego przyjaciela, ścisnął wszystkich po kolei.

Cały wieczór przebawiono się razem wesoło. Pan Paweł idąc za sędziwym wojakiem, prosił tak pułkownikowej jak i jej córki, o krzyżek na drogę, ażeby mu się szczęśliwie smutne poselstwo powiodło.

— Będziemy się z Klarcją o to modliły razem — odrzekła poważna matrona, a tymczasem idź kochany panie Pawle w imię Ojca i Syna i Ducha świętego, amen!

I przeżegnała pochyloną jego głowę.

Do północy błyszczało światło w sypialnej komnacie pułkownika. Ktoby zajrzał przez okno, widziałby jego postać wyniosłą, żywo szybkim krokiem przechodzącą cały pokój, chwilami stawającą, z załamaniem rąk rozpaczliwym. I widziałby z drugiej strony pana Pawła, stojącego nieruchomie przy podwojach, jak od czasu do czasu mówi coś z cicha, poważnie, nieraz głos podnosi i z ożywieniem obliczem, to z zapałem przemawia. Sędziwy wojak wtedy przystawał, słuchał uważnie, poczem wyciągnął doń ręce, rzucił się w jego objęcia i obaj, siwe gołębce, rzewnie zapłakali.

Pułkownik spokojniejszy usiadł, a naprzeciw Chromiński i długą naradę mieli; poczem światło w sypialni zagasło.

Kiedy pan Paweł wyszedł na ganek odetchnąć świeżym powietrzem wiosennej nocy, z podziwieniem znalazł w nim siedzącą matkę z córką.

— Jakże się skończyło? — zapytały razem, zrywając się z ławki.

— Dzięki Bogu! wszystko poszło pomyślnie. Krzyżek pułkownikowej i wasze modlitwy nie były daremne. Ale już późno, *drugie kury* zapieją, idźcie panie na spoczynek, ja także zabiorę się do niego, tylko tu odmówię wieczorne moje modlitwy. Uspokojone temi słowy odeszły do sypialni, a pan Paweł wkrótce w pokoju, obok pułkownika, smaczno zasnął.

Nie tak spokojną noc miał hrabia Adam: przeżalił go najprzód wyjazd niespodziewany żony, a przestachem napełniła wiadomość, którą przywiózł z Jabłonki posłaniec konny, że pani hrabina z Chromińskim są u pułkownikostwa, przyjechawszy z Borowa.

— Mój Jacenty — mówił do wiernego sługi — czyżby moją tajemnicę pan Paweł zdradził? Jestem zgubiony, jeżeli żona ją widziała i o wszystkim się dowie. Nie będę śmiał oczu podnieść. A stary pułkownik! o ten nigdy nie przebaczył!

— Niech się pan hrabia uspokoi, odrzekł Jacen-

ty, pan Paweł, jeżeli co robi, to tylko na korzyść pańską. Może w tej chwili lepiej pracuje nad odwróceniem burzy, aniżeli by to sam pan hrabia potrafił, jeszcze teraz złamany słabością.

— Dobrze mówisz... dał mi tyle dowodów przyjaźni serdecznej i niezłomnej, tyle poświęceń! On nie zapomni o swym wychowanku, którego zawsze musi kochać. Tak! musi (dodał silniejszym głosem) bo i ja go Kocham i pamiętam com mu dłużny!

Pomimo to miał noc, której przespać nie mógł. Dręczyły go sny straszne. Widział w nich postacie: to matki swojej, jak płakała, stojąc u jego wezwłowa, to młodej Jadwigi, jak z wyrazem rozpaczony na bladym, a pełnym zawsze uroku obliczu, załamywała wychudłe ręce ze spojrzeniem serdecznych wyrzutów. Przejęty dreszczem gorączkowym, oblany zimnym potem, otwierał oczy przestraszone, spoglądał z trwogą, czy widma senne nie pojawiają się w rzeczywistości — ale sypialnia była pusta. Wstyd mu było dzwonić na Jacentego i spowiadać się ze swej obawy, zamykał oczy, lekko drzemał i doczekał się przecie świtu, tak długo a tęskliwie oczekiwanego. Wtedy dopiero zadzwonił, a gdy wbiegł Jacenty...

— Która godzina? zapytał.

— Dopiero piąta na zegarze pałacowym uderzyła.

— Otwórz całe okno! muszę odetchnąć świeżym powietrzem poranku, bo mi strasznie duszno!

Jacenty z podziwieniem roztworzył okno, dotąd zamknięte szczerlnie, a hrabia ze zwróconą głową, chwycił chętnie balsamiczną woń płynącą od rzeki, z łąk i ogrodu.

— Ach! rzekł po chwili, leż mi nieco, swobodniej oddycham, a powiew łagodny wiatru i chłód poranny przypominają mi najszcześniejsze dni dziecięcego wieku, gdy z Pawłem sypiał w szalaszach w pośród naszej *Zielonej puszczy*. Ileż to lat przepłynęło, ileż zmian w życiu — i młodość bezpowrotnie uleciała!

— Może się pan hrabia napije herbaty? — przezywając smutne dumania jego, zapytał Jacenty.

— Dobrze! dobrze! ale pierwszej mnie ubierz! Usiądę w otwartym oknie, bo czuję orzeźwienie i wracają mi nowe siły.

Jacenty spełnił polecenie, nie mało zdziwił się, że hrabia bez laski swojej powstał i rzeźwym krokiem przeszedł kilka razy po sypialni, usiadł w fotelu przy roztwartym oknie.

— Teraz podaj mi herbatę! a wypiszy parę filiżanek, dał mu znak, żeby odszedł.

Pozostawszy sam, zwrócił oczy na okolicę malowniczą, ale najwięcej wyteżone spojrzenie zatrzymał na wyniosłym pagórku, przez który szła droga od Jabłonki do Jazdowa.

Niedługo ujrzał bryczkę w siwki zaprzężoną: przez perspektywę rozpoznał Chromińskiego. Za tą bryczką w otwartym koczobryku ujrzał pułkownika, a w ślady za niemi toczyła się karetka w pięć dzielnych zaprzężona kasztanów.

Perspektywa wypadła mu z ręki, pot kroplisty, zimny oblał czoło i gdy na łoskot wpadł Jacenty, ujrzał pana zemdlatego.

W tej chwili na progu sypialni ukazał się Chromiński, obaj przeto przenieśli go na łóżko. Jacenty zamknął okno i dawna cisza zaległa komnatę. Hrabia otworzył oczy, powoli przyszedł do przytomności, a widząc starego przyjaciela przy sobie, jak mu czoło ociera...

— To ostatni akt dramatu! — rzekł słabym głosem, ale ja go nie przeżyję!

— Odwagi mój drogi hrabio — mówił przyjaźnie i rzewnie Chromiński, — wszak masz do czynienia nie z obcymi ludźmi, ale ze swą rodziną i przyjaciółmi.

— Ty mi tylko jeden zostałeś jako prawdziwy przyjaciel, mój opiekun lat dziecięcych. Czuwaj nademną i ratuj mnie w tej niedoli.

To mówiąc, uściśnął dłoń jego serdecznie i odwrócił głowę, ażeby ukryć głębokie wzruszenie.

— Pokrzep się sam nieco, kochany hrabio! Jacenty mi mówił, żeś nie spał w nocy i tak rano się zbudziłeś — odpoczni! Pani hrabina zabawi naszych gości.

I cicho na palcach wychodząc, przytknęła drzwi sypialni.

Niedługo ostrożnie Jacenty otworzył drzwi i położył list nadesłany od baronowej Essenwein. Adres wskazywał, że ma być doręczony we własne ręce hrabiego Adama, z dodatkiem, że bardzo pilny.

W parę godzin śpiący otworzył oczy zapadłe i jakby obłąkane; długo spojrzenie zwracał na około siebie, aż ujrzał list położony; poznawszy pismo dobrze znanej ręki, rozdarł kopertę i z gorączkowym pośpiechem zaczął czytać.

Dawna przyjaciółka donosiła mu szczegółowo o wszystkim, radząc zdradzić Chromińskiego ze służby wypędzić: „a gdy — dodawała w końcu — rozdział teraz z żoną niewątpliwie nastąpi, ja pośpieszę otoczyć całą troskliwością delikatnej kobiety, jako dawna przyjaciółka ukochanego hrabiego.“

Głęboko wzruszony, podarł ten list w kawałki z pogardą i zadzwonił silnie, a gdy wbiegł Jacenty:

— Przygotuj wszystko do ubrania, zawołał głosem drżącym od oburzenia. Gdzie hrabina i pułkownikstwo?

— W dolnych apartamentach obok oranżeryi.

— Dobrze! ubierz mnie prędzej i poproś zaraz pana Pawła do mnie.

Kiedy skończył ubranie, usiadł na fotelu, w tej chwili ukazał się Chromiński.

— Panie Pawle — rzekł wyciągając doń rękę — odebrałem list od baronowej, w którym donosi mi wszystkie szczegóły pobytu waszego w Borowie. Nie masz więc żadnej tajemnicy, postąpiłeś jak człowiek prawy i uczciwy i jako mój prawdziwy przyjaciel. Zbliź się, niech cię uściśkam! Gdyby żyła moja matka, błogosławiłaby cię za to. Rozważyłem wszystko dobrze i nabrałem przekonania, że innej dla ciebie, jako mego przyjaciela, drogi nie było. Muszę jednak wiedzieć, czy moja żona pragnie rozvodu? Jestem na wszystko przygotowany.

— O tem mowy nie było i nie ma, odpowiedział Chromiński, tu przedewszystkiem myśleć potrzeba o losie i przyszłości sieroty.

— Rozumiem — mój kochany Pawle, podaj mi z tej szkatułki miniaturę mojej matki.

Kiedy ją ujął w drżące ręce, długo się wpatrywał całował, a chowając na sercu, rzekł swobodniej oddychając:

— Teraz podaj mi rękę, mój przyjacielu, zejść na przyjęcie gości.

Jacenty zbiegł pierwszy uwiadomić ich o tem. Pułkownik z córką usiedli w pierwszym salonie, pułkownikowa została w oranżeryi przyboicznej, której drzwi otwarte zostały. U jej stóp siedział mały Stefanek, w klombie kwiatów ukryty, wodząc w około zdumionemi oczętami.

— Jacenty! zawołał groźnie hrabia, zstępując ze schodów, niech tu nikt nie waży się wchodzić — ty stój na straży.

Gdy weszli do salonu, hrabia oddał głęboki ukłon pułkownikowi, który siedział z ponurem obliczem, a opierając się silnie na ramieniu swego przewodnika, zwrócił oczy na żonę, a potem spojrzeniem zatoczył, szukając matki. Zobaczył ją i pochylił z uszanowaniem głowę, poczem patrzył jak w tęczę w małżonkę swoją i oczarowany jej wdziękami, długo się wpatrywał.

— Siadaj, hrabio! — przemówiła pierwsza pułkownikowa, przerywając grobowe milczenie.

— O nie! droga pani! wyrzekł mocnym i stanowczym głosem, obwiniony i przestępca stać musi przed swymi sędziami. Nie żądam łaski, czekam tylko wyroku, któremu się z góry poddaję. Mój jedyny przyjaciel, na którego ramieniu się wspieram, obudził we mnie odwagę i energię, które wlewał dawniej w moich latach dziecięcych. Bronić się nie myślę, grzechy moje i winy są wielkie, ale jest także wielkie miłosierdzie boże!

Na te wyrazy rzewne a pokorne, rozjaśniło się pochmurne czoło pułkownika: powstał, a zbliżając się do niego:

— Panie hrabio! krótko a węzłowato bolesne te odwiedziny u was skończymy. Oto są spisane warunki, które jeżeli przyjmiesz...

— Proszę o nie, bez czytania podpiszę.

— O nie! na to nie pozwolę, musisz wiedzieć, co zatwierdzasz swoim podpisem, ażebyś nie powiedział później, żeśmy cię podeszli.

— I tacy ludzie prawości i zacności niepokalanej, jak ty pułkowniku, mogą mi przypisywać taką niekczemność, ażeby na chwilę zapomnieli z kim mam do czynienia. Dobrze, więc odczytam.

Wsparł głowę na ramieniu przyjacielskim, a im więcej się rozczytywał, rozjaśniała się twarz jego. Było to jedynie zobowiązanie adoptowania i uznania za prawego syna, małego Stefanka. Gdy

skończył, zbliżył się do stołu, porwał pióro i podpisał.

— Gdyby mi wolno było, mówił rzewnym głosem, padłbym na kolana przed tobą, moja Klara i u stóp twoich złożył ci podziękowanie za to dobro, jakie mi wyświadczasz, dla spokoju mego sumienia i serca. Gdyby mi było wolno ten sam hołd złożyłbym u nóg twoich, szanowna i czcigodna jej matko, a po tem zwróciłbym się i do ciebie, pułkowniku, wyciągnął rękę, ażeby poczuł uścisk twej szlachetnej dłoni. Ale po tem co zaszło, pozostaje mi tylko jedno: złożyć, drodzy państwo, moje uszanowanie i w samotności, w opuszczeniu... prosić Boga o zmiłowanie...

Głos jego przy ostatnich wyrazach zadrżał: zwrócił się, oddał głęboki pokłon i kilka kroków postąpił. Chromiński szedł blady i złamany, spodziewał się, że pokora jego wychowanka wzruszy chociaż jedno serce. Była to chwila dla niego straszego niepokoju, gdy nagle usłyszał szelest sukni jedwabnej z jednej strony, chód mężki z drugiej. Równocześnie porwali się z miejsc swoich Klara i jej ojciec.

— Hrabio Adamie! — odezwał się przyjaźnie stary wojak, tak się nie pożegnamy obojętnie. Ja ci przebaczam wszystko, boś postąpił uczciwie.

— A ja przychodzę do ciebie, Adamie, przemówiła Klara, ażeby ci podać rękę i towarzyszyć wszędzie, jako wierna żona, co ci zaprzysięgła przy ołtarzu.

Na ten głos stanął jak skamieniały, nie mógł słowa dobyć z bijącej gwałtownie piersi, wreszcie, wzruszony, uściśnął serdecznie podaną dłoń starego wojaka, a ująwszy ręce małżonki, tulił je do swego serca.

— Wracacie mi życie, przemówił wreszcie, teraz zaczynam oddychać.

Oblicze Chromińskiego żywy rumieniec radosnego uczucia ożywił, gdy wzięwszy na ręce dorodnego Stefanka; pułkownikowa zbliżyła się śpiesznie do córki. Ta wskazując na piękne pacholę, wyrzekła:

— To twój syn, Adamie, a teraz nasz syn, panie hrabio.

On spojrział nieśmiało na sierotkę, ale wkrótce przemogło uczucie szlachetne, pochylił się, a tuląc chłopczynę do piersi, złożył pocałunek na jego główce.

Pułkownik z żoną śpiesznie opuścili pałac Jazdowa, wracając do swej ustroni. Hrabia Adam w parę dni wyjechał do Warszawy, ażeby stwierdzić aktem urzędowym uznanie małego Stefana za swego prawego następcę i dziedzica. Wtedy dopiero razem pojechali do Jabłonki, przedstawiając oboje sierotę jako swego syna, a ich wnuka. Stosunki serdeczniejsze teraz zawiązały się pomiędzy rodzicami a zięciem.

Doznane wrażenia i przejścia bolesne, silnie oddziaływały na hrabiego Adama; z porady lekarzy przeto wyjechał latem do *Cieplic*, gdzie w ciągu miesiąca zakończył życie. W testamencie cały majątek pozostawił w dożywociu swej małżonce. Hrabina Klara, jako wdowa, przybyła ze swym synem, jak nazywała Stefana, do Warszawy i przez cały rok, czuwając nad jego wychowaniem, na lato przyjeżdżała do Jazdowa, ale więcej bawiła u swoich rodziców.

O Tadeuszu Sędzimirze wieści przygłuchły. Chromiński rządził mu w Sosnowcu dobrze i zbierał niemało grosiwa. W roku 1826 otrzymał pierwszy list jego z Anglii, w którym mu donosił, że wraca do Francji, gdzie dłużej zabawić myśli. Zasiłku pieniężnego nie żądał, bo potrafił sobie za granicą wystarczyć.

Na raz przyniesiono Chromińskiemu wiadomość o jego skonie. Nieboszczyk cały majątek zapisał hr. Klarze.

W tym czasie pułkownik Dąbrowa zakończył życie. Hrabina Klara boleśnie dotknięta zgonem Tadeusza, a teraz nowym ciosem rażona przez utratę ukochanego ojca, który darować sobie do ostatniej chwili życia nie mógł, że wpłynął tak zgubnie na los swojej jedynaczki, już szat żałobnych do grobu nie zdjęła.

Młodego Stefana, pod opieką poważnego przewodnika, wysłała do uniwersytetu; sama zaś przy matce osiadła, której jedyną była pociechą.

Wtedy ją bliżej poznałem, mając już od Chromińskiego szczegóły wypadków opowiedziane. Starzec,

którego pozyskał ufność, z młodzieńczym zapalem dawne swoje wspomnienia wymownie opowiadał i wtedy niesłychanie się ożywił.

Dramat ten nie był tajemnicą dla wielu osób, opowiadano go sobie ze wszystkimi drobnostkami; niektóre szczegóły wzięła nawet z niego Elżbieta Jaraczewska i one też odbijają się w jej ostatnim utworze p. n.: „*Pierwsza młodość, pierwsze uczucia*“, wydanym w roku 1829, o którym zaraz mówić będziemy.

Z tego też powodu poświęciliśmy obszerny ustęp o losach pięknej Klary i hrabiego Adama, zaczerpnięty tak z ust głównie działających osób, jak i małego pamiętniczka, który po śmierci hrabiny Klary, przechował się u pochylonej wiekiem pułkownikowej, które przeżyła męża i córkę, a czytał go od deski do deski Chroński (jak sam się wyrażał) i zachował w dobrej pamięci.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HISTORIA O JANASZU KORCZAKU I O PIĘKNEJ MIECZNIKÓWNE

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg.)

— Moja jejmość, moja panno — mówił do żony — piękne to imię i dom wielki i majątności rozległe, ale, wolałbym dziecko dać szlachcicowi, toby to tam uszanowano, a w pańskim domu zawsze się im zdawać będzie, że mi łaskę zrobili. Tymczasem pan Miecznik Zboński, *simplex servus Dei*, niczyjej łaski nie potrzebuje, a panna Miecznikówna ma taki kawałek chleba zapasem, że sobie męża może wybierać, jakiego zechce!

— Ale możeż wybrać lepiej jako jego? — mówiła Miecznikowa — chłopiec jak lalka, dworak, żołnierz, meżny, szlachetny.

— Ta, ta, ta, przerwał Zboński, pewnie, pewnie, ale jabym takiego rubasznego szlachcica wolał, co by go choć trochę ezosnkiem słyhać było, bo ja w piżmo nie wierzę, a ten mi piżmem śmierdzi.

Jadzia na wiadomość o przybyciu Kasztelanica zbladła i przestraszyła się tak, że matka ją niemal trzeźwić musiała i widząc trwogę uspokoiła tem, że nigdy nikt jej w świecie zmuszać nie będzie. Ucałowała ze łzami ręce matki i dała się namówić, by wyjść do niego, ale tak wylekła, blada, chłodna, iż Kasztelanica, który był wesół bardzo, od razu jak ścięty głowę zwiesił.

Nie takiego się powitania spodziewał. Zbliżył się zaraz pierwszego dnia kilka razy do niej, lecz ledwie słówka z ust jej doprosił. Podwajała za to uprzejmości matka i ojciec był też serdecznym wielce.

Ponieważ Kasztelanica przyjąć wypadało a właśnie były zapusty, Miecznik posłał do sąsiadów prosić na *chrust* — z tem, że i skrzypki będą.

Jakkolwiek dom był żałoźny jak mało i ptasiego mleka w nim chyba brakło, jednak oprócz muzyki, wiele drobnych rzeczy musiano kazać przywieźć z miasteczka. Było to w niedzielę zapustną; Nikitę posłano, aby kapele zamówił, żydowską, bo innej nieznano, i po różne ingrediency domowej apteczki, dlatego tylko, aby uchować Boże, czego nie zabrakło. Nikita, który od czasu jak o śmierci Janasza przyszła wiadomość, chodził smutny jak po bracie, ciągle mówiąc o tym paniezu drogim — pojechał, rad że przynajmniej w miejscu siedzieć nie będzie, gdzie mu wszystko Korczaka przypominało. On jeden z Jadzią najmocniej odczekał śmierć Janasza, a raz Miecznikówna mu nawet powiedziała pocichu:

— Mój dobry Nikito! my tylko pono dwoje żałujemy tego człowieka, który za nas życie dał.

Żałowali go wszyscy, nikt może więcej nad Miecznika, ale ten nie zwykł był po sobie okazywać strapienia — trzymał je zamknięte we wnętrzu.

Nikita małemi saneczkami jednokonnymi przed wieczorem dobiegał do miasteczka. Tu, jak to w polsolicie bywało u nas, każdy dwór miał swą gospodę, do której ludzie jego zajeżdżali; a której właściciel był zarazem faktorem i pełnomocnikiem pana. Ledwie konia postawił i do izby wszedł, Majerek przyszedł się go rozpytywać po co, dlaczego przyjechał i czy czasem jego pośrednictwo nie będzie potrzebne. Dowiedział się naturalnie: kto był we dworze, jacy goście byli zaproszeni, i co się z tego święciło.

— E! rzekł w końcu Nikita — wszystko nadaremne, panna za niego nie pójdzie, ja wiem, że nie pójdzie!

— Nu? a dlaczego?

— Bo nie chce.

— A dlaczego nie chce? — pytał Żyd.

— Dlatego że jej się nie podobał, i nie pytaj mnie więcej. Posyłać do Kwinty po muzykę i po wszystkim. Kwintą przewano wirtuoza, który zarazem nogą orkiestrę prowadził, a ręką na skrzypkach wygrywał pierwszy głos. Kapela to była samorodna, coś nakształt węgierskich, z pamięci grająca wszystko, ale z niezmiernym zapalem i werwą, czasem, pod dobry humor, szaloną. Szczęściem Kwinta jeszcze zamówiony nie był. Nikita zbywszy się tej najważniejszej sprawy, siadł przy stole obu łokciami się podparłszy, gdy wśród mroku, postrzegł sanki zachodzące właśnie do gospody. Na nich siedział ktoś — rozpoznać go nie mógł — ręką wskazujący dom Majerka.

Snieg trochę pruszył i przybyły otrząsał się z niego w sieni, a potem drzwi otworzywszy wszedł do izby. Nikita siedział wprost wnijsia i podniósłszy oczy — otworzył usta, rzucił się, wstał z siedzenia, a naostatek krzyknął:

— Wszelki duch Boga chwali!

— A! Nikita! — odparł Janasz przybywający właśnie.

— Panicz! żywy! mój pan! — poczęł biecą Nikita i rzucił mu się do kolan. — Jezu miłosierny! wy to jesteście!

To serdeczne przywitanie rozczuliło Korczaka, który uściskał chłopaka nie mogąc przemówić słowa.

W tem nadbiegł Majerek, żona jego, dzieci. Wszyscy wiedzieli o śmierci Janasza, i osłupieli widząc go żywego. Gwar, szwar, wykrzyki powstały w karczmie.

Na tysiące zapytań ledwie piąte przez dziesiąte mógł Korczak odpowiedzieć. Nikita płał się, gadał, śmiał, podskakiwał, szalał. Janasz też choć smutnie się uśmiechał.

— Zdrowi wszyscy? co się u was dzieje? co z Miecznikiem?

Nie było końca opowiadaniom.

Konie, któremi Janasz przybył, zmęczone były bardzo, dalej już iść nie mogły, nie miał więc zamiaru na noc stanąć w Mierzejewicach. Nikita także chciał był nocować, lecz zmienił plan.

— Panicz tak chcesz spać jak z nieba, bez oznajmienia, to nie może być — odezwał się. Lepiej będzie jak ja trochę przygotuję. Panienska chora, jegomość świeżo po chorobie, jak się pan tam pokaże, nie! to będzie źle. Ja na całą noc pojedę — a panicz dopiero jutro rano....

Nie sprzeciwiał się Janasz: — Rób jak chcesz.

W chwilę też zdawszy małe sprawunki na Majerka i polecivszy mu, aby je do sani Janaszowi włożył, Nikita wódki się napił i jakby inny człowiek popieszył napowrót do Mierzejewic. Korczakowi tymczasem izbę ogrzano i p. Majerkowa wieczere jakąś przygotowała.

W chwili, gdy się go jak najmniej spodziewano, Nikita już o późnej godzinie zajechał przed stajnię, konia oddał fernalowi, a sam, że się jeszcze u Miecznika świeciło, pobiegł do niego.

Miecznik swoim zwyczajem powróciwszy do sypialni, kłęcząc pacierze odmawiał, odwrócił głowę, zobaczył Nikitę, trochę się zżymnął, lecz modlitwy kończył. Dworak stał u progu. Po chwili trzykroć uderzywszy się w piersi z całych sił, pochyliwszy przed obrazem, stary oparł się o łóżko, dzwignął i — wstał. Popatrzał na Nikitę.

— Czegóżes ty waryacie, leciał tak po nocy, na skrócenie karku! wilecy stadami chodzą! Konia pewnie ochwyciłeś. Czemuś nie nocował w miasteczku? co to jest!

— Gdzie tam, proszę jasnego pana, nocować by-

ło — koni pełno, ludzi tłok, noc jasna, nie spędziłem szkapy.

— A co ci tak było pilno? — to nie darmo — zawołał Miecznik.

Nikita pomilczał.

— Kwintę zamówiłeś?

— Będzie jutro.

— Ryby dostałeś?

— A jakże.

— Gdzież u licha, po nocy?

— To Majerek.

Miecznik ramionami ruszył.

— Zobacze jutro konia — którego ci dali?

— Żarnowskiego gniadego.

Sapnął stary.

— No — to ruszaj spać.

— Proszę jasnie pana, choć to może nie pewne, ale w gospodzie byli ludzie jadący z Krakowa. Otóż jeden z nich bajki plótł.

— Co za bajki?

— Że tam dużo jeńców naszych król jegomość wymienić kazał teraz, i że jeden z nich do Mierzejewic o furę pytał.

Miecznik przyskoczył do niego z oczyma iskrzącymi.

— Na Boga! nie pytałeś jak wyglądał?

— Mówili, że młody, tylko zmizerowany.

Łzy stanęły w oczach Miecznikowi i ręce podniósł do góry.

— A! gdyby też Bóg cud uczynił! gdyby to był Janasz poczciwy — cobym dał! cobym dał!

— No, tak z opisu toż się zdaje — dołożył Nikita patrząc mu w oczy i uśmiechając się dziwnie.

Zboński wpatrzył się w niego i więcej się poczęł domyślać niż słyszał. Przystąpił doń i uderzył go po ramieniu.

— Ty coś wiesz! gada! nie bierz mnie na męki.

— Proszę pana, ja myślę, że on żyje!

— Myślę! myślę! mów, wiesz i lękasz się powiedzieć. — Co to, ja dziecko? trutniu jakiś.

Nikita się w głowę poskrobał i za kolana go ochwycivszy, wybuchnął:

— Jasnie panie, Janasz żyje! żyje! na mojem go oczy widział.

Miecznik podskoczył, ale też do łóżka się odwrócił, do obrazu Chrystusa, padł i ręce rozłożywszy, głośno poczęł dziękować Bogu.

O Nikicie jakby zapomniął.

— Jejmość! Pójdź zakończ do Tulskiej, spytaj czy pani się położyła.

Nikity już w izbie nie było, Miecznik chodził poruszony, trąc czuba.... śmiejąc się sam do siebie.

— Bóg łaskaw, Bóg dobry, z sumienia mi kamień spadł.

W tem pani Zbońska, jak stała w białym przyodziewku i czarnej katance, w czepku noenym zjawiła się we drzwiach. Postrzegłszy męża, który chodząc po izbie nogą podrzucał do góry jak był zwykł, gdy mu się co nadzwyczaj szczęśliwego trafiło — osłupiała.

— A tobie co przyszło do głowy?

Zboński zbliżył się, objął za szyję i całował poczęł.

— Otóż ci się na czułość zebrało!

— Kochanie, panno moja, na czułość, na radość, na niewypowiedzianą rozkosz, za którą Bogu dziękuję. Żgadnij co ci powiem.

Miecznikowa stanęła zdumiona.

— Cóż ty ze mną w zagadki grasz? Mieczniku, co ci jest?

Zboński do góry rękę podniósł.

— Chwała panu na wysokościach.... Janasz żyje!

Pani Zbońska krzyknęła, ale zamiast radości, której się Miecznik spodziewał — stanęła niema, zamysłona dziwnie, a po chwili uchwycivszy blisko stojące krzesło, siadła na niem i w milczeniu na rękę się podparła, patrząc w ogień palący się na kominie.

Zboński nie mógł tego jej usposobienia zrozumieć: zmieszał się.

— Moja dobrodziejo — jakoś dziwnie tę wiadomość przyjmujesz — rzekł zeicha. Bóg widzi, pojąć nie mogę. Żeby nieprzyjaciel z grobu zmartwych wstał, byłoby się czemu radować, a coż dopiero to dziecko wychowane w domu naszym, które za ciebie piersi swe zastawiało, a za mnie życie dało też, tylko go Bóg miłosierny nie wziął.

Zboińska ciągle siedziała zamyślona, spojrziała na męża, jakby badając go i namyśliwszy się poczęła:

— Bogu niech będą dzięki, tak — cieszę się i ja, dla was, dla nas, dla niego, cieszę się, ale mój drogi Krysiu, radość to z piółunem zmieszana.

— Nierozumiem—słowo ci daję.
— Kiedy już Bóg tak zdarzył, to może lepiej, abysmy się rozmówili bez ogródki.

— Ale na rany Chrystusowe! moja panno, mów — a prędko. W istocie do mojego szczęścia naleliście piółunu, nie nie rozumiem, trwożę się w końcu. Co tam chowasz takiego?

Stała przed nią Miecznik, ta się wahać zdawała jeszcze—powstała z krzesła.

— Wola Boża—ja matka nie podołam temu, dla ojca tajemnie być nie powinno.

Wszystcy Janasza kochali jak dziecko, ale pono nasza Jadzia pokochała go zanadto. Rozumiesz mnie. On temu nic nie winien. Uciekał prawie od niej. Dziewczę niewinne nie widziało w tem nic złego. Już w Gródku to postrzegłszy, starałam się ich rozdzielić; Janasz chciał tam zostać z dobrej woli, potem wyjechał do jegomości z listami i obłożnie zachorzał w Konstantynowie. Przybyliśmy tam, gdy go już na śmierć dysponowano, leżał jak trup. Jadzia przypadła doń i głosem swoim do życia go w moich oczach przywołała. Chłopiec temu nie nie winien, ale ich trzeba rozdzielić. Widziałeś co się z nią stało, gdy przyszła wiadomość o jego śmierci?

— O małości dziecka nie stracili!

Westchnęła Miecznikowa.

— Teraz, gdy się już z tą myślą oswajac zaczęła, ten powraca.

Załamala ręce. Miecznik stał jak wkuty do ziemi, pobladał, zmienił się, usta wydał.

— Chciałoby się nie wierzyć tej biedzie, rzekł zmienionym głosem,—ale ty, moja droga, masz oczy kobiety i matki, musi to prawdą być.

— Głowę tracę.

Oboje zaniemieli na chwilę, Miecznik się przechadzać zaczął sumując.

— Co tu począć?

— Ja ci się z radą nie śmiem wrywać — rzekła powoli Miecznikowa. Nikita może się jeszcze nie wygadał, zawołałby go, zakazał mu, żeby nikomu ani pisał, a posłać do Janasza, niech do Krakowa do króla jedzie. Dziewczę zapomni, Kasztelanie się znią ożeni, i....

Miecznik głową trząsk:

— Komplikacya — zawołał — a w dodatku kłamstwo, a nuż się wygadają! I znowu chłopca mi żal, ja mu życie winien, a odpędzę go od progu jakby on tu co zgrzeszył. Przecież jejmość mówi sama, że on tego na sumieniu niema. Jakże z nim tak postąpić?

— Wszystko to prawda, łagodnie zaczęła Miecznikowa, ale tu o dziecka jedyne szczęście i spokój chodzi.

Ona go już pogrzebla i oplakała. Przyjedzie, uraduje się, serce wróci do dawnego przywiązania, a potem my je znowu rozdzierać będziemy musieli.

Słuchał pan Miecznik smutny i wdychał, dzy ocierał.

— Jak mi Bóg miły, pierwszy raz w życiu tracę głowę, nie wiem co począć.

— Przecież mu jej dać nie możemy? — zawołała matka.

— Ani śnić o tem! — wybuchnął Miecznik — chłopak mi drogi — ale ani on może tak wysoko sięgnąć, ani ja tak się poniżyć! Gdzie? co za podobieństwo.

Chmurny przeszedł się parę razy, otworzył drzwi i krzyknął w sieni:

— Nikita!

Chłopak pobiegł wołać przybyłego. Stał we drzwiach z twarzą rozjaśnioną.

— Czyś ty się już przed kim z tą nowiną nie wypaplał? — zapytał Miecznik.

— Ja? żywej duszy nie widziałem. Chodziłem do kredensu, czy co zjeść nie znajdę.

— Jak ty mi piśniesz — rzekł pocichu przystępując do niego stary i palcem grożąc mu na nosie — to mi się nie pokazuj na oczy.

Nikita ramionami ruszył, nie mógł nie zrozumieć.

— Idź zaraz do stajni, każ sobie dać do sanek srokacza, weź chłopca dla bezpieczeństwa. Wracaj natychmiast do miasteczka do Janasza, dam ci list.

— Ale — milczec — bo....

Ani słowa też nie odpowiedział pomieszany Nikita. Wszystko to mu się zdawało tak dziwnem, że niemal na pana i panią się gniewał, ale do stajni po srokacza poszedł.

Miecznik siadł zaraz pisać; Zboińska nie wychodziła.

— Niewdzięcznie się znajdujemy względem niego — odezwał się stary głosem, w którym łyzy czuć było. Serce mi się kraje, brzydzę się sobą — ale dziecko! jedyne dziecko! Bóg przebaczy.

Moja jejmość, krew się pieniędzmi nie płaci, to prawda, miłość się nie nagradza posagiem — ale niechże biedak choć głodu nie cierpi. Trzeba go wyposażyć.

— Daj co chcesz! — zawołała Zboińska.

— Tysiąc dukatów mu posłę, niech ma się czem z pocztęm postawić.

Ale — żebym też, choć pokryjomi widzieć go nie mógł!

— Gościa masz w domu — odezwała się Zboińska, na jutro zaproszonych osób tyle.

Nagle w głowę się uderzył Zboiński.

— Aleć w miasteczku go żydzi poznali i widzieli, to się nie utai — zawołał.

— Zakażemy mówić! Któżby śmiał! Mejer swoim zapowie, żeby milczeli.

Widocznem było, że środek ten nie po myśli był Miecznikowi, że użyłby innego, gdyby mógł, ale jejmość stała przy swoim. — Westchnął i siadł pisać. Ręka mu się trzęsła, oczy ocierał; wreszcie pióro rzuciwszy wstał:

— Dopisz kilka słów — rzekł do żony — tyleśmy mu choć winni.

Miecznikowa, która widziała wzruszenie męża, przybiegła do stołu, pogładziła go po twarzy.

— Serce moje, pamiętaj, że to dla Jadzi czynimy. W sumieniu nie mamy nic. Chcesz mu ją dać?

Miecznik za głowę się pochwyił.

— Ale dajże mi pokój, wiesz, że umarłbym, gdyby tak za mąż wyjść miała! Ignominia! chłopak u nas wychowany w domu! Do czego by to było podobne. Nie mów mi tego, proszę.

— Mówiłeś o tysiącu — dodała Zboińska — daj mu dwa!

— Niech mu wiezie trzy — rzekł spokojnie Miecznik, ale ja ci się kłnę, że on i jednego nie weźmie. To wszystko jedno.

Siadła pisać pośpiesznie Zboińska, a że w spokojny czas nieosobliwie weale z piórem się obchodziła, teraz trudno było wyczytać co nakreśliła. Miecznik chodził jak oszalały, za głowę się rwąc.

— Tego mi jeszcze było potrzeba! — mrucał — po niewoli, po tych wszystkich plagach.

I ręce załamywał i wdychał. Nierychło go żona nieco ukołysała. Dobyto dwa spore worki zielone z kuferka, dla bezpieczeństwa jejmość kazała przynieść kobierczyk i zawięła je, zawięła krajką po wierzechu. Posłano po Nikitę. Hołobę trzeba było zbudzić, aby zawiątko do sanek nieść mu pomógł. Drzwi się zamknęły, posłaniec milezący od stajni ruszył.

Szczęściem, że mu chłopca dano, który srokacza prowadził, bo Nikita sam nie byłby pewnie trafił do miasteczka, tak przybity jechał i zropaczony prawie.

Ust nie otworzył przez całą drogę.

Zabierało się na dzień, gdy czarne dachy miasteczka, których śnieg od dymu okopcał, pokazały się na polu okrytem białem.... W karczynie zamkniętej spało wszystko, trzeba było bić do drzwi długo, nim zaspany belfer przyszedł otworzyć. Nikita wy dobył swój ciężar z sanek i poszedł do izdebki w której spał Janasz. Zrazu nie bardzo go chciał budzić, lecz słysząc hałas, Korczak sam się zerwał pytając czy dnieje. — Pilno mu było do Mierzejewic.

W tem na progu ze świeczką pokazał się Nikita.

Przetarł oczy Janasz, popatrzał nań.

— Co się z tobą stało? zabłądziłeś? nie dojechałeś do Mierzejewic?

Nikita rzucił zawiątko, siadł na ławie i list dobył. Twarz jego mówiła wiele, domyślił się Janasz czegoś złego i rękę drżącą po list wyciągnął. Serce mu biło — odgadł niemal co go czekało. Przy ogarku począł czytać list Miecznika — krótki, serdeczny ale okrutny zarazem. Czytał raz, błędził po nim oczyma, czytał — drżał mu papier w rękach — potrzebował długiej chwili czasu, nim przyszedł do siebie. Zabrakło mu głosu, Nikita patrzył nań z po-

litowaniem, z bólem, z gniewem przeciw Miecznikowi — ale nie mówił też nic.

Przemógłszy ból wreszcie, Janasz list położył, głowę podparł, dumiał.

— Mój Nikito — rzekł — kiedy taka wola państwa Miecznikowstwa, ażebym ja pozostał umarłym, proszę cię zakaż Mejerkowi, ażeby nie gadał o mnie, ja zaraz ztąd ruszać muszę, tubym długo nie mógł zostać.

Pieniądze — dodał — odwieziesz napowrót, ja ich nie potrzebuję, ja ich przyjąć nie mogę. Król mi dał na drogę, to starczy napowrót, lub.... nie wiem. Trzeba sobie szukać kąta.

W tem Nikita wybuchnął.

— Ani po panu ani po panim się tego nie spodziewałem.

— Na miłość Boga — cicho — przerwał Janasz — oni wiedzą co czynią. Ja im tego za złe nie mam, tak musiało być. Zawiniłem, żem się z Krakowa nie zgłosił.

Rozplakał się Nikita. Janasz wstał co żywiej, aby też samą furę napowrót do Krakowa zamówić. Nie chciał bawić do dnia, aby go więcej osób nie widziało i wymknął się niepostrzeżony. Nikita kilka razy narzekania poczynił, ale mówić mu nie dał. — Za karczmą ścisnęli się w milezeniu, a dworak widząc oddalające się sanki, stał długo jak wryty.

Pocziwie jego serce pojąć nie mogło tego postępowania Miecznikowstwa. Nie czekając na Kwintę i muzykę, natychmiast gdy strokacz popasł, kazał chłopcu zaprząd, zawiątko wrzucił w nogi i do Mierzejewic powrócił.

Mejerowi tylko zapowiedział, że gdyby o Janaszu mówił, na wieki u Miecznika łaskę straci.

— Coś chłopiec przeskrobał! — rzekł żyd w duchu, ale co mnie do tego! co mnie do tego! Chęć, żeby jego nie było — niech go nie będzie.

Ruszył ramionami i swoim też milczec kazał.

Następny dzień w Mierzejewicach, który usiłowano uczynić wesołym, nie był nim weale. Coś ciężko na wszystkich sercach, jakiś niepokój widać było po twarzach. We dworze, chociaż nie wiedzianno nic, nocna wyprawa Nikity do miasteczka, narady długie w pokoju państwa dawały do myślenia. Tłumaczono to sobie przygotowaniami na przyjęcie gości, ale Nikita, zapytywany, milezeniem swem upartem budził podejrzenia. Z obojga państwa niespokojnych i zadumanych także się domyślano, iż coś zaszło niedobrego, co ukryć się starano.

Przed południem nadjeżdżający goście szczęściem przynieśli z sobą roztargnienie. Wesoły humor Miecznika chwilami brał górę. Pani Zboińska krzątała się podwajając starań i gościnności.

Jadzia wyszła też ubrana wedle rozkazu matki, ale z twarzą, której żaden nakaz nie mógł odmienić. Uśmiechała się łagodnie, smutnie, roztargniona i jakby na wszystko obojętna. Również napróżno się ją rozbawić starały i przyjaciółki wypytały.

Odpowiadała im, że od chwili tej, gdy ją z matką Tatarowie napadli i śmierć lub niewolę widziała już przed sobą — do dawnej wesołości powrócić nie może.

Kasztelanie jawnie już występował jako starający się o serce panny i nie opuszczał jej na chwilę, lecz rozbawić nie mógł.

Inne za to dziewczęta unosiły się nad nim, a to go pocieszać nieco musiało, bo się nie kryły z tem, iż się im dworak zręczny, dowcipny, młody i ładny wielce podobał.

Gdy wieczorem skrzypki się odezwały, Jadzia przybiegła do matki, głowę na jej piersiach położyła, uściśnęła ją i szepnęła: — noga mnie boli — tańcować nie mogę, matuniu, nie będę — proszę was, nie przymuszajcie mnie, proszę.

Spojrziała na nią łzawemi oczyma; matce też zakręciła się łyza w oku — pocałowała ją w czoło i nie odpowiedziała nic. Nie poszła więc Jadzia w taniec, chociaż ojciec, który sobie w końcu trochę podchmielił, sam się jej za tancerza ofiarował, aby upór zwyciężyć. Pocałowała go w rękę, popatrzała w oczy, Miecznik, wyrazem jej twarzy przestraszony niemal, odstąpił.

Skoki więc i muzyka były dla drugich, a Kasztelanie w końcu trochę dotknięty, wybrał sobie pannę Starościankę Bielską i uwijał się z nią, dokazując niezmiernie. A trzeba było wyznać, że tańcował cudownie, bo się w stolicy tańca, w Paryżu, u najpierwszego ćwiczył mistrza. Podziw obudzała pię-

kna jego prezencja i niezrównana gibkość ruchów. Starzy i młodzi stawali kołem, gdy Starościankę wzięwszy wywijał z nią pośród sali.

Jadzia z założonemi rękami patrzyła obojętnie oczyma.

Wśród wiwatów, wystrzałów i dobrej myśli, dociągnięto tak do dnia. Jabłonowski miał pono zostać przez ostatni wtorek, ale zrana pożegnał oboje gospodarstwo i niespodziewanie wyjechał.

Matka, która pilne miała na córkę oko, dostrzegła że posępna twarzyczka jej, po odjeździe Kasztelanicy wyjaśniła się i wypogodziła. Trwały zabawy umyślnie następnego dnia, aby się ludziom nie zdawało, że je tylko dla Jabłonowskiego wyprawiano. Jadzia i tego dnia nie ruszyła się, ale równieście zachęcała i krzątała się zastępując matkę, chociaż na jedną nóżkę kulejąc.

Oddechnęła dopiero swobodniej, na mszy popielcowej.

— A! przecież się to skończyło... szepnęła po cichu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z DZIAŁU PRZYRODY.

(Dokończenie).

Pryzmat i łamanie się światła.—Skład chemiczny ciał niebieskich.—Widmo słoneczne. Odkrycie Kirchhoffa.—Słońce; protuberancje, wybuchy gazowe. — Trzy grupy gwiazd. — Brak metaloidów i związków chemicznych. — Wszechświat i atom.—Dążność umysłu ludzkiego do odkrycia pierwotnych przyczyn bytu poza granicami nauki.

W ciągu ostatnich lat kilkunastu przekonano się, że pierwiastki chemiczne składające naszą ziemię, znajdują się także w słońcu i gwiazdach. Bezpośrednio nie możemy, jak to wszystkim wiadomo, poddać chemicznemu rozbirowi materji, z której te odległe ciała są złożone, ale przez bezgraniczne przestwory dochodzą do nas przez fale eteru, promienie światła — a jak mamy prawo mniemać, wzbudzone podobnie jak promienie światła wytwarzanego sztucznie na ziemi — za pomocą ruchu atomów różnych pierwiastków ziemskich. Cudowna ta zdobycz fizyki wskazuje nam jedność praw świata fizycznego i prostotę jego budowy.

Promień słoneczny padający na graniastosłup, czyli przyzmat szklany, zbacza ze swego kierunku, t. j. załamuje się, a zarazem rozszczepia na mnóstwo pojedynczych promieni. Jeśli te wszystkie promienie chwycimy na zasłonę, czyli na ekran, otrzymamy je w formie barwnego prostokąta zwanego widmem optycznym. Smugi światła leżące jedna obok drugiej, przedstawiają barwy tęczy, ułożone w tym samym jak w tęczy porządku, a mianowicie: fioletową, błękitną, niebieską, zieloną, żółtą, pomarańczową i czerwoną.

Poza granicami widma widzialnego istnieje widmo niewidzialne: po za granicami barwy czerwonej, istnieją jeszcze promienie ciepła, po za barwą fioletową promienie chemiczne, silniej działające niż także promienie padające razem z promieniem światła. Tak więc wszystkie siły działające na ziemi jako ciepło, światło i powinowactwo chemiczne, zstępują do nas ze słońca z białym promieniem światła. Widmo, o jakim mówimy, nie jest jednolite. Fraunhofer znalazł w niem mnóstwo linii czarnych, przecinających świetne pasy, a Kirchhoff spostrzegł, że te ciemne linie zajmują w widmie te same miejsca co linie świecące w widmach otrzymywanych przy paleniu ciał metalicznych w wysokiej bardzo temperaturze. Znakomity ten fizyk spostrzegł nadto, że przy pewnych warunkach fizycznych, a mianowicie wtedy, kiedy przez słabo gorejące pło-

mienie przepuszczamy promienie od ciał wysoko rozpalonych, można otrzymać ciemne linie, odpowiadające ciemnym liniom badanym po raz pierwszy przez Fraunhofera. Można ztąd wyprowadzić wniosek, że ciemne linie w widmie słonecznym pochodzą z tej samej przyczyny, t. j. od promieni z rozpalonych par metalicznych, stanowiących jądro słoneczne, które to promienie, przenikając atmosferę słoneczną, mającą nieco niższą temperaturę, dają w widmie ciemne linie Fraunhoffa. Tak więc gwiazda będąca dla nas źródłem ciepła, światła i życia, składa się z pierwiastków tych samych co i nasza ziemia. Pierwiastki te stanowią wodór i pary metali rozpalonych do bardzo wysokiej temperatury. Ciała te nie są jednolicie rozmieszczone w massie samego słońca i otaczającej go rozrzedzonej atmosfery, albowiem wodór i metale najbardziej lotne, znajdują się na powierzchni kuli słonecznej wyżej niż inne metale. Te rozpalone gazy składające słońce, znajdują się w ruchu i strasznym podlegają burzom. Wybuchy gazowe na podobieństwo trąb naszej atmosfery, wznoszą się do wysokości 1,000 mil geograficznych nad sferę gazową; są to tak zwane *protuberancje*, oświecone charakteryzującym je różowem światłem; według Janssena i Lockyer'a, protuberancje utworzone są z bardzo rozrzedzonego wodoru i ciał nieznanego na ziemi, zwanego *helium*. Kula świecąca, *photosfera*, zawiera, jak to wskazuje widmo, wiele metali użytecznych: jak żelazo, wapno, sod i t. d., nie zawiera zaś: złota, platyny, srebra i rtęci; tak więc widzimy w słońcu brak metali drogiej, mających małe powinowactwo do tlenu. W widmie słonecznym nie spotykamy także obecności linii charakteryzujących metaloidy i ciała złożone. Wnosić ztąd wypada, że metaloidy nie znajdują się na słońcu, a temperatura powierzchni słońca tak jest wysoka, że żadne związki chemiczne nie mogą się w niej utrzymać. Linie Fraunhoffa są ciemne; tylko linie, które dają protuberancje, oraz części tarczy widzialne na jedną sekundę przed zjawieniem się słońca przedstawiają smugi świecące, charakterystyczne w widmach, powstałych z rozpalonych par metalicznych.

Oto w kilku słowach tak zwana chemia słońca. Posiadając w rękę cudowne narzędzie, które pozwala nam badać skład chemiczny ciał rozpalonych, odległych na miliony mil, uczeni astronomowie poddali chemicznej analizie bezdenne przestwora firmamentu. Światło gwiazd, a nawet światło obłoczków i mgławic, zostało rozłożone. Gwiazdy stałe przedstawiają widmo z czarnymi liniami Fraunhoffa, co wskazuje, że ich przyczyna, budowa i skład chemiczny podobne są do słonecznych. Aldebaran posiada w swej massie nietylko wodór, magnezyum, i wapń (metal znajdujący się w wapnie), ale nadto antymon i merkuryusz. Mgławice posiadające światło słabsze niż światło świecy odległej na pół wiorsty, dają jednak widmo; widmo to jest nader proste i składa się z dwóch błyszczących linii: jednej wskazującej obecność wodoru, a drugiej—azotu. Te mgławice dające błyszczące linie w swem widmie, nie mogły być rozłożone za pomocą najsilniejszych teleskopów na pojedyncze gwiazdy. Należy je więc odróżnić od tych mgławic, czyli obłoczków, które będąc widzialnymi za pomocą bardzo silnych teleskopów okazały się zbiorem gwiazd, z powodu wielkiego oddalenia przedstawiających się nieuzbrojonymu oku w postaci błyszczących tumanów.

Zbadanie składu chemicznego gwiazd, których odległość pozostaje dla nas nieznaną, zbadanie składu obłoczków stanowiących zaczątki tworzących się światów: oto zdumiewające zdobycze umysłu ludzkiego. — Astronom z lunetą w rękę klasyfikuje gwiazdy, wyprowadzając wnioski o ich względnej dawności. Tak jest, rozklasyfikowano dziś gwiazdy na białe, żółte i inno-kolorowe. Białe posiadają najwyższą temperaturę i są stosunkowo najmłodsze; ich widmo składa się z kilku tylko linii ciemnych, przeważają w niem linie wodoru, znajdują się jednak

w tem widmie linie magnezyum, żelaza i sodu. Jeśli prawdą jest, że Syryusz był niegdyś w starożytności czerwonym, zawdzięczał zapewne tę swoją barwę większej obfitości płonącego wodoru. Nasze słońce, Aldebaran, Arkturus należą do grupy gwiazd żółtych. W widmach tych gwiazd linie wodoru są mniej rozwinięte, ale inne linie metaliczne występują za to wyraźniej i liczniej. — Gwiazdy trzeciej kategorii najmniej wydają ciepła i są najstarsze, wypromieniają też światło najmniej żywe, wcale albo w składzie swym albo tylko mało zawierają wodoru, wprawdzie w widmie tych gwiazd przeważają linie metali, widać tam już jednak prążki podobne do tych, jakie tworzą w widmie związki chemiczne. Przy niższej temperaturze, jaka panuje na tych gwiazdach, związki chemiczne mogą już istnieć. Klasyfikacja podana tutaj jest dziełem uczonego rzymskiego astronoma, Ojca Secchi.

„Staralem się tu przedstawić — mówi uczonego profesor — ostatnie wyniki prac dokonanych w chemii, fizyce i astronomii fizycznej, naukach tak różnemi zajmujących się przedmiotami, a jednak blizkich sobie z powodu, że wszystkie zajmują się materją. Celem ich ostatecznym jest poznanie kształtowania materji, jej własności i rozdziału we wszechświecie. Nauki te uczą nas, że światy unoszące się w przestrzeniach bez granic, są zbudowane z tych samych pierwiastków co i nasz systemat słoneczny i znajdują się równie jak on w ruchu dokonywanym wedle praw niezmiennych.

„Ta cudowna harmonia sfer niebieskich, o jakiej marzył Pitagoras, istnieje także w świecie nieskończonego małym, w świecie atomów. W tym małym światku wszystko jest ruchem podległym niezmiennym prawom. Te atomy nieskończonego małego, stanowiące massę wszystkich ciał, nigdy nie są w spoczynku. Najdrobniejszy pyłek zawiera nieskończoną ilość jednostek materialnych, z których każda obdarzona jest ruchem i ten ogólny ruch cząsteczek składających ciała, ta muzyka atomów, jeśli mamy mówić językiem starożytnego filozofa, przypomina harmonię świata. Czyż nie prawda, że wyobraźnia nasza równie jest bezsilną, umysł równie zaniepokojonym na widok bezgranicznych przestworów świata, jak przy rozmyślaniu nad milionami atomów zawartych w kropli wody?

„Materia wszędzie jest jednakowa: wodór zawierający się w wodzie znajdujemy w słońcu, Syryuszu i mgławicach niebieskich. Atomy materji wszędzie znajdują się w ruchu, a ten ruch nieodłączny od atomów jest zarazem początkiem i źródłem wszystkich sił fizycznych i chemicznych. W miarę zdobyczy na polu nauk ścisłych, okazuje się, że Mądrość Stwórcy wszech rzeczy wskazała naturze jak mało ma używać środków, by dojść do wielu różnorodnych celów.

„Po za zasłoną zaledwie uchyloną — widzimy harmonię i głębokość wspaniałych planów budowy wszechświata. Wprawdzie pierwsze przyczyny bytu są nam nieznane. Rozwiązanie zadania tego oddawna przyciąga ku sobie umysł ludzki, lecz zadanie to na wieki pozostanie nierozwiązane. Umysł ludzki z natury swej postąpił chęć naprzód w tę głęb' tajemniczą. Daremnie usiłują go zadowolnić odkryciami harmonii istniejącej w budowie światów i praw rządzących fizycznymi zjawiskami. Umysł ludzki pragnie wznieść się wyżej — w instynktowym przeświadczeniu, że wszystko, na co patrzymy, musi mieć po za sobą przyczynę swego bytu i początku. Umysł ludzki szuka tej przyczyny, pierwotnej, jedynej i powszechnej. Tą przyczyną — jest Bóg!

Do dzisiejszego numeru „Bluszezu“ dołącza się dalszy ciąg powieści **Middlemarch**.

TREŚĆ: Ironia (poezya), przez El-y. — Pogawędka. — Rodzina jako stowarzyszenie się do szczęścia (dalszy ciąg). — Niewiasta polska. (dalszy ciąg) przez K. Wł. Wójcickiego. — Historia o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Z działu przyrody, (dokończenie).